

Włodzisław Roszewski
KRYTYKA LITERACKA

"ŁAGODNE OKO BŁĘKITU"

14. II. 71 623
WOJEWÓDZKI URZĄD KONTROLI PRASY
PUBLIKACJI I WYDOWISK
BYDGOSZCZ
zwróca się
na wyłączenie
Nr. 10-7
8.7.71
data podpis

Mówiono o tobie... Stop jednak! Zatrzymajmy się tu, na samym progu opowieści, jak zatrzymujemy się niekiedy na progach nieznanych jeszcze domów, pełni zażenowania i wahań, porażeni ich nieodgadnioną świetlistością. Zastanawiając się, czy mogę przekazać jakąś wiedzę o kimś innym, o tobie, w istocie rzeczy już przystąpiłem do przekazywania tej wiedzy. Niech więc odejdą ode mnie ci, którzy sądzą, że biorąc się za pisanie opowieści, mam chociaż nikłą szansę, by w pełni zapanować nad jej żywiołem, że nic mi się w niej nie wymknie półgębkiem i nieopatrznie. Opowieść ma swoje prawa, w niewielkim tylko stopniu zależne od praw, które pragnąłbym jej narzucić. Gdy chcecie te prawa poznać, nauczcie się gry w kości, zagrajcie kilka partii i wówczas przekonacie się, że nie jesteście wprawdzie statystami w grze, ale przekonacie się, także, że nie ogarniacie jednak całkowicie jej mądrej przebiegłości. Gra wyprawia was w pole, zwodzi, mami błędnym ogniem, pogłębiającym raczej, niż rozświetlającym ciemność. I nie opowiadajcie mi, że dowodem talentu i opanowania rzemiosła jest władanie opowieścią jak jakąś zaciężną dziwką, gotową skoczyć to tu, to tam na pierwsze

lepsze skinienie. W podwójny zatem sposób rozumna jest opowieść. Nazwijmy to może lepiej żmudną czynnością śledztwa, sporządzaniem, aktu oskarżenia, przygotowaniem procesu, wstępną formułą wyroku, który, nawiasem mówiąc, nigdy nie zostanie wykonany, zawisnie tylko nad naszymi głowami jak pierzasta chmura, przypomni nam zbrodnie, jakie wobec siebie popełniliśmy, zbrodnie nie figurujące zresztą w żadnych kodeksach karnych, zbrodnie z precedensem i bez precedensu, zbrodnie okrutne i zbrodnie radosne. Przyjdzie nam powiedzieć sobie o wielu rzeczach, choćby z tego względu, że to, co się między nami zdarzyło, nigdy właściwie nie zostało do końca dopowiedziane, bo zarówno ty, jak i ja lękaliśmy się, każde na swój sposób, zwodniczej magii słów i wielokrotnie zastępowaliśmy ją milczeniem, towarzyszącym nam najczęściej, gdy wędrowaliśmy nocą wyludnionymi ulicami, zanurzeni raz w sztucznym świetle lamp, raz w ciemności, raz w kroplistej wilgoci, raz w niosącym chłód wietrze. Czasami chwytając mnie za rękaw marynarki, szarpałaś, krzyczałaś: "Patrz, patrz na tę trawę, na te kolory, światła. Jakie to piękne, a ty nic, nic nie widzisz!" Widziałem, oczywiście widziałem, ale widziałem jak przez mgłę, porażony przez cały czas tym lękiem, instynktownym i haniebnym przeczuciem końca naszej

znajomości, jaki ogarnął mnie w momencie, gdy znając cię jeszcze tylko z widzenia, z ulicy, z pochodów pierwszomajowych, z zabaw studenckich, skłoniłem się przed tobą w klubie, żeby poprosić cię do tańca, a ty swoją skwapliwą zgodą, uśmiechem, śmiałym odrzuceniem za siebie ciemnych włosów, nie zdołałaś tego lęku zniweczyć, jedynie zneutralizowałaś go na pewien czas swoją urodą. Pamiętam doskonale o czym mówiliśmy w trakcie tego naszego pierwszego tańca, pamiętam, że żartobliwie chciałaś zasugerować mi, że pomyliłem cię z kim innym, pamiętam jak prędko zaczęliśmy mówić do siebie po imieniu i pamiętam, że gdy umilkła orkiestra usadowiliśmy się na stołkach w pobliżu bufetu, naprzeciw luster, w których mogłem cię oglądać nie patrząc na ciebie bezpośrednio i mimo spóźnionej pory piliśmy kawę podaną nam przez kelnera w białej marynarce, (z przybliżoną fryzurą, łasego na napiwki.) Kawa pobudziła moją wyobraźnię, mówiłem dużo, zawsze tak robię, zasypuję na początek kobiety gradem słów, by po kilku dniach wypryknąć się całkowicie z tego, co w moich dotychczasowych dziejach było jako tako cenzuralne i szukać ratunku w zmyśleniach, w wyposażonych w pozory realności, skleconych naprędce baśniach, w owej niepisanej literaturze, do których musi się uciekać

629

człowiek, nie osiągnąwszy jeszcze punktu, w którym możliwa jest pełna szczerłość. Tak oto skryty za maską słów określających w mniejszym lub większym przybliżeniu z kim masz do czynienia, śledziłem cię uważnie i w toku tego śledztwa uderzony delikatnością twoich rysów, może zbyt chłodnych, ale za to jakże wyraźnych w rysunku, jak doskonale wyprofilowanych. Pomyślałem, że nie mógłby się odważyć zaprosić cię jeszcze tego wieczoru do swojego domu, tak jak to zdarzało mi się niekiedy z innymi dziewczętami, nie tylko dlatego, że propozycja taka zostałaby przez ciebie natychmias odrzuconą, lecz także, że nie przeszkąby mi ona po prostu przez gardło. W tym momencie, ciekaw jestem, czy to pamiętasz, zagrała milcząca dotąd orkiestra i ponownie poszliśmy tańczyć. Dziś, kiedy jest po wszystkim i kiedy według wszelkich znaków na niebie i ziemi wyjechałaś na sobotę i niedzielę, do miasta darzącego nas kiedyś, w krótkiej chwili szczęścia wspaniałą pogodą, kiedy przebudziwszy się zbyt wcześnie, studiowałem w encyklopedii z braku lepszego zajęcia topografię mórz i kraterów księżycowych, wiem że właśnie wówczas gdy próbowałem cię w tańcu lekko przytulić do siebie, a ty odsunęłaś się ode mnie instynktownie, jak spłoszony ptak, że właśnie wówczas kości zostały rzucone i mianowałem cię w swoich

niejasnych, nazbyt pospiesznych myślach bohaterką tej gry-
-opowieści, nudnej, nudnej z pewnością, bo któż zechce dziś
takie rzeczy czytać, zajmować się katastrofą mężczyzny i kobiety,
powikłanym i nieodwzajemnionym uczuciem bez chwil ekstazy,
porywów namiętności, wielkich filmowych uniesień, zgiełku
i furii płaczu i śmiechu, tkliwości i nienawiści, litości
i trwogi.

Jakie było prawdopodobieństwo, że się spotkamy właśnie tego
październikowego wieczoru, w miesiącu i dniu niejako rocznicowym,
jeśli idzie o prehistorię moich uczuć, w czwartek? Nikłe. Ułamek
ułamka. Podobno, gdyby lśniące ziarno piasku padło na morski brzeg
dwadzieścia centymetrów bliżej lub dalej, zmieniać by nam przyszło
historię świata, dokonywać niezliczonych poprawek w encyklopediach
i traktatach. A czymże jest ziarno piasku w porównaniu z tobą...
żywą, namacalną, widoczną, wirującą w tańcu, przyciągającą wzrok,
budzącą podziw, słuchającą Szopena z głową opuszczoną nad kolanami,
podnoszącą z ziemi unerwiony liść, stojącą nieruchomo nad Wisłą
i wpatrzoną w blask rozścielany przez zachodzące słońce na
powierzchni wody. Historia jednak przechodzi do porządku dziennego
nad ziarnami piasku i nad nami i dlatego wskazówki zegarów śmiało

mogą pozostać na swoich miejscach, gdyż żaden porządek nadrzędny
 nie zostaje naruszony. Nie zauważa po prostu tego, co dzieje się
 wśród ziaren piasku i w sercach ludzkich i to stanowi jej siłę,
 a naszą słabość, słabość istot skazanych na przeżywanie i wskrze-
 szanie przeżyć. Mówiłem wiele, pamiętasz, o nikłości tej szansy,
 lubowałem się w podkreślaniu jej niecodziennego znaczenia twierdzi-
 łem, że od momentu, kiedy padły między nami pierwsze słowa, przy-
 padek, który popchnął nas ku sobie utracił swoje znaczenie i cała
 reszta zależy już tylko od nas, porównywałem trud rozwijania
 naszej znajomości z trudem budowniczych słynnych katedr i cytowa-
 łem ci raz po raz te wypowiedziane pół żartem, pół serio słowa
 Hermana Melville'a, błagającego Boga, by strzegł go przed
 ukończeniem czegokolwiek. Wybraliśmy się później, lecz wciąż
 jeszcze tego samego wieczoru do klubu artystycznego, klubu pełnego
 postaci gogolowskich, czechowowskich, bułhakowskich, którym nie
 trzeba byłoby wcale dolepić nosów z papier-mâché i malować
 policzków, by obnażyć ich kuglarską śmieszność. Mówiłaś wiele,
 z przyjemnością wsłuchiwałem się w melodię twojego głosu,
 patrzyłem na twoje ciemne brwi zrastające się łagodnie ponad
 linią nosa, usiłowałem doszukać się uszu pośród włosów opadających

ci tego dnia swobodnie na ramiona, na golf sweterka ciasno opinający twoją szyję, na stopy w rdzawozielonych skarpetkach, osadzone w półbucikach, doskonale ~~h~~armonizujących kolorem z resztą stroju. Tak, wszystko było dobrane starannie, ze smakiem, z polotem, nawet słowa, nawet uśmiechy i gesty wspierające sens słów.

Uciekliśmy stamtąd, przedarliśmy się przez zasy papierosowego dymu i gwar nieuchwytnych, plugawych rozmów, wróciliśmy na chwilę do klubu studenckiego, a potem już trafionym zabłąkanym pociskiem już ranny, już tkamszący w sobie ból fascynacji, odprowadzałem ciebie do domu, wyasfaltowaną alejką, biegnącą równolegle do gmachu muzeum etnograficznego, gdzie pośród tysięcy różnych eksponatów spoczywają również ciemne płyty, na których cierpliwe ręce kujawskich kobiet wysypały ornamenty i obrazy z jasnego piasku. Wystarczy przeciąg albo lekkie g dmuchnięcie, a już tracą one swój kształt. Szliśmy obok siebie nie trzymając się za ręce, skrepowani, a ja mówiąc, usiłowałem przez cały czas odpierać inwazję lęku zmieszanego z nadzieją. Komu to przyszło do głowy, ulicę, przy której wynajmowałaś od kilku tygodni pokój, nazwać ulicą Pojednania?

637

Czy w Komisjach Nazw siedzą jacyś poeci, marzyciele, wichrzyciele, fantaści nie z tej planety? Jakiego pojednania? Kogo z kim? Po co i na co? Trudno byłoby tobie i chyba także facetom z Komisji Nazw znaleźć odpowiedź na te pytania. A jednak dziwna nazwa tej zresztą dobrze znanej mi ulicy, którą zwędrowałem wzdłuż, wszereż, na skos i na opak, zdzierając na jej bruku - bo asfalt pojawił się znacznie później - co najmniej dwie pary butów, posiada dla mnie swój ukryty sens. Ścieżka, jaką zaczęliśmy wydeptywać, kiedy po raz pierwszy odprowadzałem cię do domu, a raczej do skraju metalowej, otwierającej się bez zgrzytu furtki, by pożegnać cię uściskiem dłoni, zdawkowym dobranoc i niczym więcej, miała już swoją prehistorię. Wszystko, lub prawie wszystko zresztą, w życiu ludzkim posiada swoją prehistorię i ona właśnie stanowi domenę literatury, przestrzeń starć, w obrębie której eksplodują ni stąd ni zowąd zwietrzałe miny, pociski i granaty, a ich odłamki rozrywają dawno zabliznione rany, sprawiając że pochylony nad kartką papieru, tylko nad kartką papieru lśniącą w świetle płonącej lampy, czujesz, że mimo wszystko jesteś istotą z krwi i kości. Ciebie prehistoria nie interesuje, ty użyczasz pierwszeństwa nadlatującej, jaskółczej chwili, lecz ja muszę tkwić w niej jak w żyznej ziemi użyczającej

soków mojej opowieści. Dowiedz się więc, że mieszkałem na ulicy Pojednania, kilka domów dalej w okresie kiedy nie pojawiał się jeszcze na niej czerwony, zabryzgany błotem autobus komunikacji miejskiej, w bezpośrednim sąsiedztwie pogotowia ratunkowego, gmachu technikum i schroniska dla turystów, pod niebem tak jasnym i czystym w dni pogodne, że można byłoby na upartego, tytułem aluzji, napomknąć, dyskretniej sugestii mówić o "łagodnym oku błękitu".

Studiując ku własnemu zdumieniu filozofię, tę dziedzinę wysiłków zdesperowanego umysłu ludzkiego usiłującego przekroczyć pulsujące linie własnych ograniczeń, wynajmowałem tu pokój w willi opasanej skąpym i raczej zaniedbanym ogrodem, pokój mieszczący się na ostatnim piętrze. tuż pod dachem nie będącym w stanie stawić oporu potokom deszczu, czy zwałom śniegu, tak że nie raz i nie dwa przychodziło mi wyciągać z wnętrza staroświeckiej umywalki poobijaną, blaszaną miskę i ustawiać ją na podłodze w miejscu, gdzie w najlepsze kapłała woda. Była tam jeszcze komoda, owalne, złośliwe lustro, wyciągnięte chyba z wesółomiasteczkowej beczki śmiechu, wyprawiające z moją twarzą różne cuda i cudenka, stół nakryty szarą serwetą, trzeszczący tapczan i rozrośnięty bujnie, obficie podlewany fikus.

Pewnego październikowego wieczoru pojawiła się w tym pokoju wysoka, płowowłosa dziewczyna w szorstkiej, błękitnej sukience. Daję jej dla niepoznaki imię Violetta, podobnie jak ciębie z tych samych względów chrzczę imieniem Natalia. Dlaczego Natalia? Przecież to brzydkie, staromodne imię kojarzące się z ustawionymi na oknie pelargoniami i kwasem chlebowym. Nie zawsze, nie zawsze. Była taka jedna. Natalia Gonczarowa. Słyszałaś już coś o niej ode mnie. Usłyszysz więcej. A piosenka Gilberta Becaud? Może nie żadna? Nathalie, Nathalie i tak dalej. Wraz ze zjawieniem się Violetty w zbyt niskim jak na mój wzrost pokoju, nastąpiła we włościach babci Srożyńskiej era muzyki i innych fantasmagorii. Odłożone zostały w kąć czerwone zeszyty z cybernetyki, logiki, etyki, metafizyki i autokrytyki. Kupiłem radio marki "Violetta" - nie nie przesadzam, gdzieżbym śmiał - i zaczęło się. Violetta miała bardzo piękne dłonie o długich palcach i wypielęgnowanych paznokciach - tak Natalio, piękniejsze od twoich, bądźmy obiektywni - i dłonie te, nie wiedzieć czemu, uparły się zadawać ból moim dłoniom. Wypadało ten ból znosić mężnie, traktować go jako życiodajny element z początku nieśmiałej, a później coraz bardziej zaborczej gry miłosnej, łączyć go w momentach określanych mianem "przyppływu"

z rytmicznym krzykiem Ray Charlesa, tego ślepeca, który wzruszał Violetkę jeszcze w czasie, kiedy nie znając mnie, snuła swoje marzenia w domu-bastionie, w domu Capulettich, gdzie na dobrą sprawę gościłem tylko raz i to w dodatku nie na kostiumowym balu, lecz na zwykłej, popołudniowej herbacie. Tybalt miał, zdaje się na imię Maciej, pływał po morzu i przysyłał kolorowe pocztówki z różnych portów. Kłóciłem się oczywiście z Violetką, chyba tylko po to, żeby się z nią godzić i kupować jej kwiaty w kwiatarniach i przy ulicznych straganach, gdzie mokną one i nabrzmiwiają w blaszanych wiadrach. Ciepło bijące od uśmiechu, radość wzniecana jej oddaniem, tkliwość jaką we mnie niegdyś budziła, tak wielka, że uznałem za stosowne ukrywać ją i tłamsić w sobie, niech będzie odpowiedzią na chłód naszego pierwszego pożegnania, które, mimo że umówiliśmy się na następne spotkanie, było już rozstaniem. Ale miłość, takie słowo... - jak powiada Cortazar. Trzymajmy się raczej realiów. Śmieję się, albo może płaczmy. Ba, gdybyśmy to umieli!

I po cóż, powiedz, wprowadziłem do opowieści widmo Violetty w pożal-się-Boże sukience? Czy chciałem cię podrażnić? Czy przypomnieć, że kiedyś byłem szczęśliwy? Czy może szło mi o prawdę, o wierność faktom przeszłości i dlatego otarłem się o kłamstwo, jeśli idzie

645

o terażniejszość? Nie wiem już. Wszystko wiruje mi przed oczami: rozjuszony ekran telewizora, regały z książkami, ściany, zasłony, maty. fotele, żyrandole, obrazy, kinkiety, szlifierz Goyi dniami i nocami ostrzący nóż na kole, nasuwający jeszcze raz myśl o Violetcie. Słucham muzyki z brunatnej, wolno odwijającej się taśmy, muzyki mechanicznej i jazgotliwej, która mogłaby posłużyć jako ilustracja tej sceny w grobowcu, kiedy Julia po panicznej ucieczce tego g^łklechy-rajfurca ojca Laurentego, przebija się sztyletem. Szklanka mocnej herbaty złagodzi, być może, skutki niewyspania. A ty, Natalio, tańcz sobie, lej wosk do wody, wyprawiaj się w przyszłość, jak wyprawiasz się w podróż - i tak cię ona wyprowadzi w pole. Planeta jest unerwiona, nic, co na niej żywe lub martwe, nie ukryje się przed wzrokiem, słuchem, dotykiem i powonieniem. Wszystko dotrze do zwojów mózgu, do tych jedynych jeszcze na Ziemi nie rozpoznanych krain, i tam znajdzie swoje krzywozwierciadlane odbicie. Beczka śmiechu! Tyn-tyn-tyn. Tyn-ta-giel. Albo: sz-szsz-szszsz-szszszsz - coraz bardziej natarczywe i głośnie, jak na koncercie, na który wybrałem się już bez ciebie. Kompozycja-nalot, kompozycja alarmowa, kompozycja ostrzegawcza. Wyprowadzona z najciemniejszego zakamarku ciszy, z głębi sceny, gdzie przed

chwila jeszcze leżały porzucone instrumenty, solidarnym wysiłkiem trąbki, puzonu, kontrabasu i szemrzającej perkusji. Interferencje. Ktoś, zdaje się, kobieta w białej bluzce, szepnęła mi do ucha: "Jak w trzydziestym dziewiątym. Zupełnie jak w trzydziestym dziewiątym." ~~Rozgrzewali się, pocili, kilka łyków wódki szybko doprowadziło ich do furii. Chudziutki perkusista, gdy przeszli już do muzyki mającej ilustrować lęk Kordiana, skradającego się do sypialni cara, przypominał siedmioręcznego bożka, miał to trzy, to cztery wściekle obracające się głowy. Po którejś tam z rzędu solówce, przestał właściwie być widoczny - jak ci ludzie na starych, nie dostosowanych do współczesnych projektorów filmach, zabawnie przebierający nogami w śmiesznych gonitwach po ulicach i placach. Dostał brawa, a zaraz potem włączył się ze swoimi głuchymi, nerwowymi uderzeniami kontrabas, poskramiany przez muzyka z brodą, we wzorzystej kurtce narzuconej na gołe ciało, jak stawiająca opór kobieta. Później trąbka, później puzon, wreszcie wszystkie instrumenty naraz i wznoszący się coraz wyżej i wyżej, coraz bardziej odległy od swoich fundamentów, gmach muzyki rozsypał się nagle, jak dom wzniesiony z kart, nastąpiła cisza, zapalono światła, a publiczność, ta sama, którą chciałem oddać na pastwę diabłów, obległa bufet, ~~bo wrażenie było~~~~

669

~~zbyt silne, żeby nie skwitować go łykiem alkoholu. Domek z kart.~~

~~Dama pikowa.~~ Straciłem cię, Natalio, chyba właśnie na tym koncercie i nie idzie o to w opowieści, by odzyskać chociaż część siebie. Nie idzie o to, żeby słowa stały się na powrót ciałem, a ciche pukanie w drzwi sygnalizowało mi twoje przybycie. Ambicje opowieści sięgają dalej. Chce ona wziąć pod swoją pieczę całe moje życie i możliwą do ocalenia część życia twojego, by przyrządzić z nich amalgamat prawdy i zmyślenia, jawy i snu, słońca i ciemności, tego wszystkiego, co w obrębie jednego ciała i jednego umysłu wiedzie ze sobą bój na śmierć i życie. Złotodzioby ptak nie wyklął się ani w twoich, ani w moich dłoniach i nie wzbił się w niebo, by zapisać na jego wklęsłej kopule, jak samolot odrzutowy wlokący za sobą smugę białej pary, to jedno słowo, jakim nie mogłaś mnie obdarzyć.

Pestka zatknięta w nazbyt jałowej ziemi nie zakiełkowała. Chmury nie otworzyły swoich grubych, sromotnych warg, by chociaż na moment ukazać nam łagodne oko błękitu. Wody rzeki, której kamiennymi brzegami lubiliśmy chodzić, nie rozstąpiły się przed nami, byśmy mogli wśród ich kipiących, lecz nieruchomych na kształt skał ścian, przejść na drugi brzeg. Podmuch wiatru zniweczył obrazy na ciemnych płytach, a ziarna piasku padły nie tam, gdzie trzeba.

Musimy na nowo odnaleźć ludzi, związać to, co zostało zerwane, odbudować to, co nieopatrzenie, kierowani pychą wykluwającego się uczucia zniszczyliśmy, przewyciężyć stan izolacji, ograniczyć zainteresowanie własnym losem, by po okręgu koła czy spłaszczonym konturze elipsy, dojść do punktu, z którego już raz wyszliśmy i wyjść z niego jeszcze raz, tyle, że każde - w inną stronę.